

ŚWIATEK DZIECIĘCY

DODATEK DO „DZIENNIKA BYDGOSKIEGO"

Numer 1	Bydgoszcz, dnia 13 stycznia 1938 r.	Rok IV.

KALENDARZ

W starym Rzymie istniał zwyczaj wywoływania na publicznych miejscach pierwszego dnia każdego miesiąca. Nazywano je Dies calendae — dnie wywoływane. Od słów, tych z biegiem czasu powstała nazwa „kalendarz". Pierwszy kalendarz stały ukazał się w Egipcie, na jakieś trzy tysięce lat przed Chrystusem. Prawie 2500 lat później założyciel Rzymu, Romulus, układa kalendarz trzystudniowy, podzielony na 10 miesięcy, a następca jego Nume Pompiliusz dodaje jeszcze dalsze dwa miesięce. W siedemset lat później, na 46 lat przed narodzeniem Chrystusa zmienia ten kalendarz Juliusz Cezar na 365 dni, by go uzgodnić ze słońcem i dodaje jeszcze co czwarty rok dzień jeden, tak zwany dzień przestępny. Ale i po tej poprawce kalendarz jeszcze nie był dokładny i po upływie 900 lat zawsze znalazłby się jeszcze tydzień nadliczbowy.

Wobec tego popież Grzegorz XIII w roku 1582, zaprowadził nowy porządek, który przetrwał do naszych dni pod nazwą kalendarza gregoriańskiego. Kalendarz jako wydanie książkowe z biegiem czasu stał się ulubieńcem wszystkich sfer i życiową koniecznością. W niektórych domach prócz książki do nabożeństwa on sam przedstawiał drukowane słowe. Jeszcze dzisiaj nabywają go mieszkańcy zapadłych wsi i odległych osiedli, gdzie nie docierają gazety ani książki. Wolne kartki kalendarza zapełniają tak zapiski rodzinne, jak uwagi gospodarcze, czasem wspomnienia osobiste.

Mamy różne gatunki kalendarzy: ścienne, religijne, historyczne — może najładniejsze jednak są kalendarze ludowe pełne dziwnych historii i wesołych opowiadań. Przed laty w jednym z nich wydrukowano następującą historię: Do pewnej wioski przyjechał cyrk wędrowny z menażerią, ale robił liche interesa. Krótko po Nowym Roku zrozpaczony niepowodzeniem dyrektor cyrku wpadł na następujący pomysł. Wywiesił na parkanach wielki plakat z oznajmieniem, że w menażerii za niską opłatą można oglądać różne zwierzęta i zebrę, która ma tyle ócz, ile rok dni liczy. Zaciekawieni mieszkańcy wioski tłumnie zbiegli się do kasy i w jednej chwili wysprzedano bilety. W menażerii był lew, tygrys, małpa i zebra — ale tylko o dwu oczach. Zakotłowało się w tłumie, wołano o zwrot pieniędzy — o policję i tak dalej. Ale wtedy zjawił się dyrektor cyrku z kalendarzem, odwrócił kartkę z napisem styczeń i powiedział: Jak państwo tutaj widzicie, mamy dzisiaj niedzielę 2 stycznia, a więc drugi dzień roku — zebra ma dwoje oczu, to znaczy tyle ile młody rok dni liczy. Gdzie tu oszustwo, o które mnie państwo posądzacie?

Sp.

„BANDYCI" u cioci Honoraty

Byli właśnie w pobliżu jej willi, więc im się przypomniało: Ciocia Honorata, skąpa acz bogata, ma niewiedzieć po co, salonik rococo.

— Wiecie co? W trójkę jak jesteśmy, chodźmy ją odwiedzić!

— Ona te odwiedziny nazwie wtargnięciem od razu trzech „bandytów"...

— Niech nazwie jak chce — właśnie dlatego zachowamy się f. f. — fürstelass!

— Naturalnie, że się zachowamy. Ja za siebie ręczę!

— Ja... no, niech będzie też. Jazda!

Zbyszko wykonał na chodniku kilka galopadowych pas, przy czym zderzył się z barokowym frontonem starszego jegomości.

— Smarkaczu!...

— Przepraszam. Jestem jednym z trzech mędrców z zachodu Bielawek...

— Bądź cicho, Zbychu. Patrz gdzieś zajechał. Byłbyś, wielbłądzie jeden, przegalopadził cel, do którego dążymy.

Otworzyła im służąca, ubrana do wyjścia.



— Jest pani Suchogłębska w domu?

— Ja... ja nie wiem...

— Ale my wiemy!

I już się fürstelass cicho rozbierali.

Pokojówka, która była zwolniona do kina, w przeczuciu czegoś niedobregu zatrzasła za sobą drzwi wejściowe i zbiegła po schodach.

W salonie na stole stała choinka ubrana starymi, wycmoktanymi, zębem czasu nadgryzionymi marcepanami.

Ach i och przybrało trzy zasadnicze tony, na skutek czego w drzwiach sąsiedniego pokoju, ukazała się wysoka, chuda, siwowłosa dama i niezbyt dyskretnie załamała ręce.



Jakiś słodko kwaśny półuśmiech, skandowany wykrzyknik aaa... kochani... chłopcy!... i trzy jasne czuprynki chyliły się kolejno do ręki cioci Honoraty.

— Usiądziecie?...

— My tylko na chwilę, ale owszem...

— Przyszliśmy powinszować cioteczce święta Trzech Króli...

— Czy cioteczka otrzymała świąteczne karty nasze z Zakop...

— Moje dziecko, mówiąc, siedź

(Ciąg dalszy na stronie 6).

Splot przygód Jurka

napisał F. A. Cruk

— 29 —

Resztę dnia Kola przesiedział w kuchni, a Jurek dusił się w ciasnej kajucie. Wieczorem zeszli się, aby uradzić co czynić dla uratowania Japończyka.

— Wyjdę na zwiady — rzekł Kola. — Czurio jest gdzieś uwięziony i musimy się wpierw z nim porozumieć.

— Dobrze...

Kola kierował się instynktem. Przeczucie mówiło mu, że Czurio jest zamknięty w jednej z komór, to też bez chwili wahania wkradł się w głąb międzypokładu. Znalazł się w wąskim przejściu doty-



kając jedną i drugą ręką przepierzenia niskich ubikacyj, przeznaczonych do magazynowania towaru. Mogły one również służyć dobrze za więzienie. Idąc po omacku złowił uchem krótkie i urywane dzwonienie łańcucha. Ledwo uchwytny odgłos zderzonych z sobą ogniw wystarczył mu, aby zorientować się skąd pochodzi i gdzie należy szukać jego źródła. Znalazł. Przyparty do drewnianej ściany wsłuchiwał się w ciężkie westchnienia wydobywające się od wewnątrz. Przylgnął wargami do desek i syczącym szeptem zawołał:

— Czurio!

Głośny oddech uwięzionego zupełnie zcichł. Odpowiedzi jednak nie było. Kola intensywniej powtórzył wołanie i tym razem Japończyk odezwał się pytając również szeptem:

— Kto mnie woła?

— To ja, Kola. Chcemy ci pomóc. Powiedz, co mamy zrobić?

— Nic — odpowiedział po krótkiej przerwie Japończyk — mnie nic nie grozi, bądźcie o mnie spokojni. Nie przychodź tu więcej, bo ściągniesz na siebie gniew kapitana.

— Nie dbam o to i nie zbywaj mnie pustymi słowami. Cierpisz przez nas, więc postanowiliśmy ciebie uratować i nie odstąpimy już od tego zamiaru.

— Ja naprawdę niczego nie potrzebuję. Idź do góry i powtórz to Jurkowi. Powiedz mu jeszcze, że za trzy dni zobaczy się z ojcem. Słyszałem jak kapitan mówił o tym z Blackiem.

— Gdzie to nastąpi?

— U ujścia rzeki Oranie. Słyszałem ponadto, że tam pozbędą się ładunku naboj i części karabinów, ukrytych w workach z maniokiem, oraz w wiązkach baweł-

ny. Transport ten, przeznaczony jest dla band rabujących karawany kupców. Załadowali go potajemnie w Kongo belgijskim...

— Za trzy dni? — przerwał mu szybko Kola — więc starczy nam czasu na uplanowanie ucieczki.

— Szkoda waszych prób, Kola — Japończyk urwał i zmienionym szeptem ciągnął dalej; — mnie już nic nie uratuje, chyba cud, a ja w cuda nie wierzę. Jutro skręcą mi kark.

— Jeszcze nie zapóźno — Czurio... jeszcze... Język poplątał się Koli. Próżno usiłował zdobyć się na mocne słowa, aby dodać Japończykowi otuchy, ale wnet zrozumiał, że nie miałoby to najmniejszego sensu. Czurio wiedział co go czeka. Kola wrócił ociężale do góry.

— I co? — zapytał Jurek czekając nań z niepokojem — dowiedziałeś się czego?

— Tak. Czurio uwięziony, ale to tylko chwilowe. Poza tym za trzy dni zobaczysz ojca.

— Skąd wiesz? — głos Jurkowi zadrżał ze wzruszenia.

— Kapitan mówił o tym z Blackiem. Czurio słyszał ich rozmowę.

— Nareszcie będziemy bezpieczni, ty, Czurio i ja. Mój ojciec napewno zaopiekuje się wami...

Jurek pochłonięty radosną wiadomością nie dostrzegł przygnębionego wyrazu twarzy przyjaciela. Kola nie zwierzył się Jurkowi ze swego niepokoju, który szarpał nim wewnętrznie. Obawiał się, że Jurek skoro dowie się prawdy, popełni nierozważnie jakieś szaleństwo, którego za wszelką cenę należy teraz unikać, bo kres przeżywanych niebezpieczeństw zbliża się. Za trzy dni ojciec zabierze go z sobą w dalszą podróż do Japonii. Co przyniesie dzień jutrzejszy? Kola przez całą noc myślał o uwięzionym Japończyku, który przypłacić ma własnym życiem ofiarną pomoc okazaną im w krytycznych chwilach. Czy nie istnieje wogóle możliwość wyratowania go z tej opresji? Od wysiłku myślowego czuł się rano odurzonym jak po zażyciu narkotyku. Przystąpił do czynności narzuconych mu po uwięzieniu Japończyka i przygotował dla załogi śniadanie. Wyniósł na pokład sporą porcję sucharów oraz misę gotowanego ryżu. Gdy uszedł zaledwie parę kroków, ktoś wpadł na niego całym ciałem i wytrącił mu naczynie z ręki. Je-



den z marynarzy z niezwykłym pośpiechem biegł do kajuty kapitana. Kola nie zdążył jeszcze pozbierać rozrzuconych sucharów, a już z pod pokładu powychodzili pół ubrani marynarze spoglądając z jawnym niepokojem poza lewą burtę, na pomarszczoną powierzchnię morza. Na mostku ukazał się kapitan z lunetą w ręku i krzyknął takim głosem, od którego krew stygła w żyłach.

— Na swoje miejsca psy parszywe!

Marynarze rozeszli się. Hendriks przebiegł obok Koli, który już uporał się z pozbieraniem sucharów i groźnie rzucił:





Buch, buch... bęc, bęc... pif, pif, paf!...
Celuj dobrze! W plecy traf!
Pocisk twardy choć ze śniegu
trafia „wroga“ nawet w biegu.
Dobrze kule śnieżne biją,
przeciwnicy już się kryją!
Bęc, bęc... pif, paf... buch, buch, buch!
Patrzcie, jaki z Jurka zuch; —
chociaż dostał kulką w czoło,
tylko zaśmiał się wesoło, —
to też wodzem wnet zostanie,
sprawi wrogom tęgie lanie!
Twierdzę śnieżną Stach buduje,
mrozu wcale już nie czuje.
Krzyś kolegów na cel bierze,
śnieg się sypie za kołnierze...
śmiechy... radość... cudna biel...
Pada rozkaz: bij! pal! cel!
Maraś trafił naraz dwóch!
Bęc, bęc... pif, paf... buch, buch, buch!
Nawet śmieszny bałwan z śniegu
też chce stanąć do szeregu.
Czy go przyjmą? — to pytanie!?
— Lepiej cicho siedź, bałwanie,
bo nic z ciebie nie zostanie...

Z. Laubert-Kułakowska

Bandyci u cioci Honoraty...

(Ciąg dalszy).

spokojnie — fotel nie dzisiejszy — zarwiesz go.

Fred przeniósł się na krzesło, pewien, że postąpił f. f.

Niestety noga u krzesła była nadwyrężona i chrupła ostrzegawczo.

Na twarz cioci Honoraty wyskoczył rumieniec trwogi.

— Tu jeden bandyta, a tam drugi coś szpera w gablotce...

— Jezus Maria! Dziecko! Postaw tę filiżankę! Boże! Jak ty to trzymasz!

Muś, jakkolwiek zaskoczony okrzykiem grozy, filiżankę po Napoleonie ustawił szczęśliwie na półeczce gablotki. Założywszy w tył nieszczęsne ręce, zapytał pojednawczo: A gdzie kanarek cioteczki?

Nie zaraz mogła dać odpowiedź, bo oto Zbyszko stanął przy choince i palcem coś dotyka...

— Chłopcze kochany, co ty tam znowu... wszystko igliwie pootrząsasz!

Na serwecie istotnie czerniło się kilka igieł świerkowych.

— O kanarka pytasz, kochanku? (zwróciła się do Musia). Wyobraź sobie — ktoś skradł go, razem z klatką!

(Tegoby tylko brakowało, żeby ten bandyta dostał go w swoje łapy! Szczęście, żem tę ptaszynę zdążyła pod kanapę wsunąć!)

— Ooo — szkoda kanareczka! I taka śliczna, złocona klatka!

Ciocia Honorata zbierała pruszka z serwety pod choinką, Muś wysunął się do przyległej, otwartej na szerz komnaty.

Ciocia zamyśliła się właśnie nad tym, że powinnaby spytać chłopców o świadectwa, o cenzury, ale nie spyta. Wie, że tak siostrzeńcy jak bratanek uczą się doskonale. Nie spyta. To zawsze obowiązuje. Trzebaby ich wtenczas choć poczęstować czymś. W bufecie są cztery katarzynki — raptem jedna jej zostanie.

Fred dłubał w nosie, Zbyszko szukał w myśli odpowiednich słów pożegnania.

— Dziecko! Nie skubże tych frędzli! Po co je w warkocze pozaplatałeś... Czy wy nie możecie tych rąk ani na chwilę utrzymać w spokoju?

Zbyszko puścił frędzle razem z świętą cierpliwością, którą dotąd za włosy przytrzymywał.

— No, wie ciocia! Myśmy tu przyszli w najlepszych zamiarach i zachowujemy się f. f. klasa! Ale ciocia to nie potrafi być ani damą, ani panią domu, ani ciocią, ani nic! To świadectwo możemy cioci wystawić na piśmie i z obrazkami. Chodźcie chłopcy!

Panna Suchogłębska zmieniła się w słup soli, ażeby tym ciężej runąć na kanapę. Bandyci! Stylowi bandyci!

W drzwiach sąsiedniego pokoju ukazał si Muś, z rękami w kieszeniach.

Nie wiedząc nic o pożegnalnej mowie i jej skutkach, wesoło wołał od proga: Ciociu! Proszę mi podziękować — znalazłem zgubę! Pod leżanką była — ooo...

I wydobył z kieszeni odrobinę czegoś żółtego.

Fred porozumiewawczo targnął go za rękę.



— Chodź — nie oddawaj — jak bandyci, to bandyci! Zabieramy z sobą to nieszczęsne ptaszysko!

Minęła dłuższa chwila, nim ciocia Honorata oprzytomniała po tym wszystkim.

Jak lwica rzuciła do drzwi, za którymi znikli nasi chłopcy.

Kanarek siedział sobie pod lustrem w przedpokoju.

— „Kochani bandyci!“...

Alina Prus-Krzemińska.

Pierwsze znaczki Grenlandii.



W ostatnim czasie Grenlandia — największa wyspa na świecie — po raz pierwszy wypuściła własne znaczki na świecie. Dotąd Grenlandia posługiwała się znaczkami duńskimi.

Kanton siedliskiem moskitów i epidemii.

W Kantonie panuje w związku z upałami straszliwa plaga much i moskitów. Do tego place i ulice w mieście oraz przedmieścia i okolice miasta zalegają tygodniami niepogrzebane zwłoki tysięcy ludzi i zwierząt. Są to ofiary samolotów bombowych japońskich przed upadkiem Kantonu. Ponadto znajduje się mnóstwo zwłok pod ruinami domów zdemolowanych przez bomby.

W Kantonie jest powietrze przesycone cuchnącymi fetorami i miazmatami nie do zniesienia. Miasto stanowi doskonałe podłoże dla epidemii i chorób wszelkiego rodzaju.





ZAKŁAD.

Dwaj myśliwi Tom i Bob siedzą w namiocie w głębi dżungli.

— Założę się z tobą — woła Tom — że jeszcze dziś zastrzelę lwa!

— Dobrze! — zgadza się Bob. — O 10 szylingów!

— O key!

Tom bierze strzelbę i wychodzi.

Po dziesięciu minutach wspaniały lew wsuwa głowę do namiotu i mówi:

— Pański przyjaciel jest panu winien 10 szylingów!

LITOŚCIWY CHŁOPIEC.

— Chłopcze, dlaczego płaczesz?

— Bo nasza kotka miała młode a mamusia je utopiła.

— To ładnie świadczy o twoim sercu, że się tym tak przejąłeś.

— Tak, bo mamusia mi obiecała, że ja je sam utopię!

NASZE DZIECI.

Zapytany o to, co robi właściwie jego stryj, mały Jurek odpowiada:

— Stryj Jaś jest pilotem.

— Pilotem, skądże? Skąd ci się to wzięło?

— Abo tatuś mówi zawsze, że stryj Jaś buja w powietrzu.

DZIECI.

— Czemu ciocia się maluje, proszę cioci?

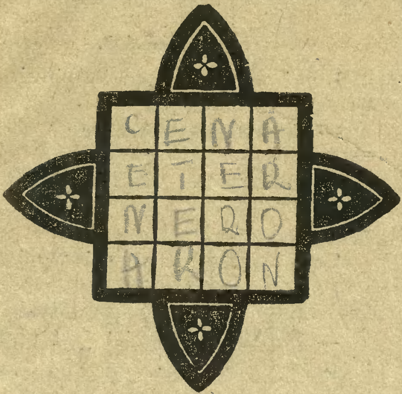
— Żeby ładnie wyglądać, moje dziecko.

— A czemu ciocia nie wygląda ładnie?

Sypcie okruszyny głodnym ptaszkom.

Szarady i zagadki.

Figura magiczna nr 93,
(uł. St. Malak)

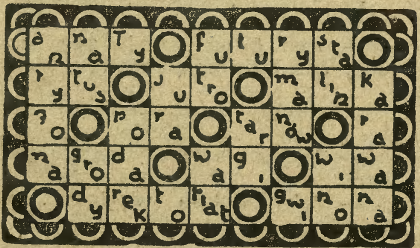


Pola wypełnić literami, aby powstały cztery wyrazy równobrzmiące w kierunku poziomym i pionowym. Znaczenie wyrazów: 1 in. wartość, 2 płyn łatwo parujący, 3 cesarz rzymski (I w.), 4 postać ze St. Testamentu.

Szarada nr 94

Wprost — powolne stworzenie,
A wygląda niby grzyb;
Wspak litery gdy odmienię —
Mam rozkazujący tryb.

Rozwiązanie krzyżówki zgłoskowej nr 89



Rozwiązanie zadania z „Lilavati" nr 90.

Ten, który wsypał do garnka 300 gramów kaszy, powinien otrzymać 40 groszy zapłaty, a drugi stróż tylko 10. Przypuśćmy bowiem, że każde 100 gramów dzielimy na 3 części. Zatem ten, który miał 300 g, posiada tych części 9, a ten drugi 6. Przypuścić również należy, że każdy zjadł mniej więcej równą porcję kaszy czyli 5 części (wszystkich bowiem części było 15). Jeżeli stróż mający 6 części (tj. 200 g) zjadł 5 części, to mógł odsprzedać ze swojej kaszy tylko jedną część; pierwszy zaś, po zjedzeniu 5 części miał jeszcze 4 części do dyspozycji i te 4 odsprzedał. Skoro przybyły stróż zapłacił za udział w wieczerzy 50 groszy, więc poszczególna część kosztowała 10 groszy.

Trafne rozwiązanie szarad nr 89 i 90 nadesłali:

Z. Chmielewska, Z. Jeleńska, M. Grabowska, G. Lewandowski, A. Schmidt, F. Zieliński.

Nagrodę za dobre rozwiązanie obu zadań przyznano A. Schmidtowi, Bydgoszcz.

DOWCIPNY JANEK.

W szkole nauczyciel do Janka:

— Wytłumaczyłem ci oto działanie ciepła i zimna, Janku. Ciepło rozciąga przedmioty, a zimno je ściąga. Podaj mi jaki przykład?

— Ferie, panie nauczycielu!

— Jakim sposobem ferie?

— W lecie są długie, bo aż dwa miesiące, a zimą tylko dwa tygodnie.

KŁAMSTWO.

— Zosia zapewniła mnie wczoraj, że nigdy jeszcze kłamstwo nie przeszło przez jej usta.

— Niewykluczone. Przecież ona mówi przez nas.

KAPITALISTA.

— Coś dostał od cioci?

— Franka.

— A coś kupił za niego?

— Papiery wartościowe.

— Za franka? Jakie to mogą być papiery?

— Cztery znaczki pocztowe po 25 centymów (czyli po 25 groszy).